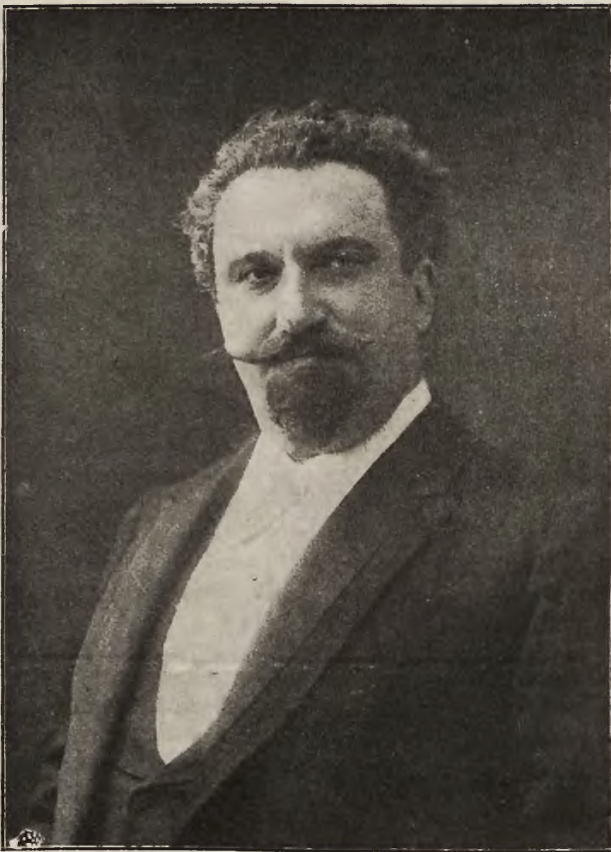


Hektor Gandolfi.

Prawdziwy znawca stosunków muzycznych wie doskonale, że wybornych tenorów i harfistów poszukuje się na wagę złota — artyści ci bowiem należą do rzadkości. W mniejszej za to cenie są barytony, bo zwykłym głosem męskim jest właściwie baryton. Bas niski, sięgający w pełnym brzmieniu do niskiego e, d, a nawet c, jest taką samą rzadkością jak tenor. Najmilszem jednak zjawiskiem jest połączenie przyrodzonego głosu barytonowego z głosem basowym o pięknym, silnym dźwięku, a gdy naturalne te dary niebios wspiera także obok inteligencji dobra szkoła i dobry spotakże obok inteligencji dobra szkoła i dobry spotakże oddawania utworu, tak zwany Vorbray — słuchacz zdumiony staje wtedy wobec artysty z łaski Bożej.

Takim przedstawił się Hektor Gandolfi, który 1 listopada 1902 wystąpił po raz pierwszy na szerszą widownię w berlińskiej Singakademie, przedstawił się jako taki śpiewak z łaski Boskiej. Nikt nie znał jego imienia, to też krytyka i publiczność przyjęła artystę dość zimno. Lecz już po pierwszych kilku taktach, zaśpiewanych głosem wspaniałym, potężnie brzmiącym i wyszkolonym, zaiskrzyły się oczy słuchaczy, a pierwszą arję przyjęli huraganem oklasków.

Karyera Gandolfiego była zapewniona. Odtąd jest artysta ten ulubieńcem publiczności, zapewnia-



Hektor Gandolfi.

jacej sale koncertowej stolic europejskich, i prawdziwym jej beniaminkiem.

Gandolfi pochodzi z Turynu (ur. 1863) i już jako chłopak dziesięcioletni okazywał wielkie uzdolnienie muzyczne i głosowe. Piękny wówczas sopran, obejmujący przeszło dwie oktawy, czynił go poszukiwanym śpiewakiem kościelnym.

Do konserwatorium w Medyolanie wstąpił dopiero w 23 roku życia po ukończeniu uniwersyteckich studiów. Śpiewać uczyli go: Platania, Miceli i Scafati.

Debiutował w medyolańskim teatrze San-Carlo w operze Micelli „Córka Jefty“.

Gandolfi śpiewał już we wszystkich teatrach Europy i Ameryki, przyjmowany wszędzie owacyjnie i serdecznie. Jest to bowiem jeden z tych artystów, który na estradę lub scenę wnosi ze sobą to coś, co od pierwszej nuty czyni go w wysokim stopniu sympatycznym, zjednując najtrudniejszych do zjednania słuchaczy.

Jest jeszcze jeden wielki przymiot, który Gandolfiego stawia w świecie śpiewackim na jednym z miejsc naczelnych. A przymiot to ważny, bo znakomity sposób śpiewania czyli tak zwana „szkoła“, podziwiana przez najzjadliwszych krytyków zagranicznych.

Gandolfi nie jest nieznanym w Krakowie. Występował on przygodnie w wybornej trupie, która gościła u nas przed kilku laty i pozostawił miłe wspomnienie po sobie.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

(Ciąg dalszy)

Na czerwonej, jak burak, twarzy Giorczaka odmalował się straszny wyraz przerażenia. Zrozumiał, że śmierć zagląda mu w oczy, czuł, że palce parobka coraz to mocniej zaciskają się naokoło jego szyi. Chciał mówić, chciał prosić mściciela o łaskę, chciał błagać go o litość, ale słowa wykrztusić nie był w stanie i tylko głuche charczenie, przypominające konanie wydobywało mu się z piersi.

Na szczęście dla Giorczaka w chacie znajdowała się jeszcze Hania. Dziewczyna oprzytomniała, zobaczyła co się dzieje i zadrżała od strachu, dostrzegła bowiem nad tymi dwoma zmagającymi się ludźmi dwa straszne widma: nad Giorczakiem siłą cień śmierci, a nad kochanym Jaskiem widmo szubienicy...

Nie namyślając się wiele uchwyciła Pogórnego za rękę.

— Puść go Jasku! puść go! — zawołała błagalnie — puść go, bo jeszcze skona bez świętej spowiedzi i wszystkie jego grzechy spadną później na twoje sumienie!...

Pogórny tknięty tą myślą, cisnął Giorczaka z całych sił o ziemię, aż kości w nim zatrzeszczały.

— Smaruj stąd! — krzyknął — a pamiętaj! — że jak się tu jeszcze raz spotkamy, to pewnikiem cię stąd w trumnie wyniosą.

Giorczak wyczerpany, błądzący z przerażenia, nie dał sobie dwa razy powtarzać tej propozycji. Chwiejnym krokiem, prawie, że czołgając się, zniknął za drzwiami, a tymczasem Hania posadziła Jaskę na ławie i objawiając go za szyję, starała się uspokoić wzburzenie młodego parobka.

— Złesz zrobiła Hanko, żeś nie pozwoiliła mi udusić tego łajdaka! — rzekł Pogórny. Teraz on będzie się miał na bógności, a i o zemście pewnie pomyśli. Lecz, jak Bóg miły nie radzę mu więcej wchodzić mi w drogę, bo go przed moją ręką ani państwo, ani nic nie uchroni! Ot, mógł już dzisiaj widzieć, co sobie robię z jego wielmożności!

Hania, milcząc, spoglądała w ziemię i jakby przejęta jakimś złem przeczuciem, z trwogą tuliła się do piersi Janka. On jednak niezauważył jej przestachu i złożywszy serdeczny pocałunek na ustach ukochanej dziewczyny, podniósł się z ławy.

— No! bywaj zdrowa moja Haniu! bywaj mi zdrowa! muszę się teraz spieszyć z listem ekonomu do miasteczka. A to dwa łotry! Chcieli mnie pozbawić się w ten sposób z wioski, aby tymczasem zbyć się im pewnie udało ta sztuka, gdyby jeno Ścibora nie był mi dał za drogę trzy papierki! Oho! pomyślałem sobie, już coś w tem musi być, kiedy taki kutwa szasta tak groszem. Ostałem się więc

i pilnowałem waszej chaty, a żem dobrze zrobił, to teraz wiem ci dopiero!

Hania nie mówiła ani słówka i wciąż tuliła się do Jaska.

— Bywajże zdrowa Haniu! — odezwał się znów Pogórny. — Po drodze zabiorę dla Szmula rogacza i na rano przyniosę ci sznur korali, a jaśnie wielmożnego pana nie bój się wcale! Dostał on taką naukę, że go pewnie odeszła już na dziś ochota do amatorów.

I młody parobczak uściśnął z całych sił Hanię, a potem chciał ją ucałować serdecznie, gdy nagle dziewczyna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Co ci to Haniu, śliczności moje? — zapytał zdziwiony Jasko — i czegoż ty beczysz dziewczucho?!

— Ej, Jasku, Jasku — załkała dziewczyna — nie gniewaj się ty na mnie, ani nie dziw, ale widzi mi się tak, jakbyśmy już ostatni raz w życiu mówili ze sobą!...

— Sen mara, Bóg wiara, Hanko — odpowiedział poważnie parobczak — nie ostatni raz się widzimy, dziewczyno, nie ostatni, bo nas tylko matka-smierć mogłaby rozłączyć, a do tej chyba i mnie i tobie jeszcze daleko!...

— Tak! — uśmiechnęła się przez łzy Hania — tak Jasku! śmierć ino potrafi nas rozdzielić, ale ludzie nigdy!...

Jeszcze jeden gorący pocałunek złączył usta obojga młodych; jeszcze raz młody parobczak przycisnął ukochaną do piersi i wreszcie drzwi zamknęły się za nim, a Hania pozostała sama w izbie.

Sama nie sama, bo za towarzyszkę pozostałą z nią troska o Pogórnego, obawa przed zemstą Giorczaka i złe przeczucia, których się wyzbyć nie mogła.

II.

W dworcu ekonomu Ścibory mimo późnej nocy świeciło się jeszcze. W kancelaryi za stołem siedział dwóch ludzi: gospodarz domu Ścibora, który szerokimi haustami popijał miód ze stojącego przed nim dzbanka i pełnomocnik Giorczak, co wyrwawszy się z niedźwiedzi uścisków Pogórnego w pierwszej chwili schronił się pod opiekunę skrzydła swego przyjaciela i współnika wszystkich zamachów na cześć ludzką i mienie.

— Hm, hm! — mruczał Ścibora pod nosem — i ktoby to był przypuścił, że ten łotr będzie taki przebiegły! W każdym razie za szczęśliwego możesz się uważać mój drogi, że ta dziewczyna wyrwała cię z rąk tego niedźwiedzia. Ja na twojem miejscu, puściłbym to wszystko w niepamięć i nie rozmazywał dalej tej sprawy.

— W niepamięć? naprawdę? — krzyknął wściekle Giorczak, tłukąc szklanicą przed nim stojącą o stół — o! co to, to nigdy! ja zemścę się, zemścę się na tym łotrze! A mam chyba podstawy do tego. Słyszałem przecież doskonale, jak stary Marcin opowiadał tej szelmie o ostatniej sprawie jej kochanka. Cieszcie się, cieszcie jego odwagą

i powodzeniem łotry, a mnie to na rękę, bo to jedna jedyna sposobność, żeby pozbyć się tego zbója! Gdy go zamkną w więziennej celi, dziewczka zostanie moją i nie będę potrzebował obawiać się zemsty chłopca, lub przeszkód jakichś z jego strony! A teraz do roboty stary przyjacielu! Ja zaraz wygotuję listy do leśniczego i do żandarmów! Złapiemy ptaszka do sieci i to wówczas, gdy będzie krążył koło swojej zdobyczy!...

W dwie godziny później ruch zrobił się na folwarku.

W kancelaryi ekonomu, za stołem siedział leśniczy i trzech żandarmów, słuchając opowieści Giorczaka, a tymczasem stary Marcin, który przeczuwał coś niedobrego i cały czas kręcił się po folwarku, spieszenie biegł do domu.

— Ej Hanko! — zawołał wszedłszy do chaty — złe z nami dziewczucho, ale z Pogórnym jeszcze gorzej! U ekonomu jest leśniczy i trzech żandarmów. Wydało się jakoś, że Jasko w lesie rogacza ustrzelił i chcą go podobno przyaresztować! Boże ty mój Boże, co to teraz będzie z nami, co będzie z Jaskiem!...

Dziewczyna zbladła jak chusta, a stary Marcin dalej biadał:

— Wszyscy już mówią o tem, a i wszyscy też gadają, że gdy pan pełnomocnik robił mł z tego po przyjeździe zarzuty, to on się rzucił na niego i chciał go udusić!...

— Łżą jak te psy! — krzyknęła Hania — łżą i tyła. Dusił ci go Jasko, dusił! to prawda, ale za to, że on was wywołał tatulu, a mnie tu w chacie napadł i chciał pohańbić! ale niedoczekanie ich złodziejów! Nie zamkną oni mego sokoła, oj! nie zamkną!

I to mówiąc Hania pochwyciła szybko sukmanę ojcowską i zarzuciwszy ją na plecy skierowała się do drzwi szepejąc do ojca:

— Ostańcie zdrowi tatulu! ostańcie z Bogiem!...

— A to co? gdzież ty się znów wybierasz dziewczucho po nocy! Ostań mi tu w chacie, bo ja nie mam ciebie na wałęsanie się! — huknął stary wieśniak z gniewem spoglądając na córkę — rozumiesz Hanka?!

Ale dziewczyna schyliła się do nóg ojcu.

— Toż on mój! on mnie pisany tatulu! któż-że więc ma go bronić, jak nie ja! Wiem kędy poszedł i wiem jako nie inaczej mu wracać, aż jak tylko dębina nad Wisłką, tam hen przy urwisku. Pójdę tam, zaczekam na niego, a powiem, co tu się dzieje. Niechże nie wpadnie nieświadom niczego, jak te owce na zaczajone wilki! A może ukryć, co będzie trzeba, to i ukryję. Nie bój-ta się tatulu! ja nie latawiec żaden i nie na kochanie gdzieś idę, ale kochanego ratować! Ostańcie z Bogiem!...

Stary Marcin nie rzekł już ani słowa. Uściśnął córkę na pożegnanie, nad głową jej zrobił znak krzyża świętego i siadł na ławie przy kuchni.

Cicho skrzypnęły drzwi chatki i Hania znikła wśród ciemności nocnych.

C. d. n.